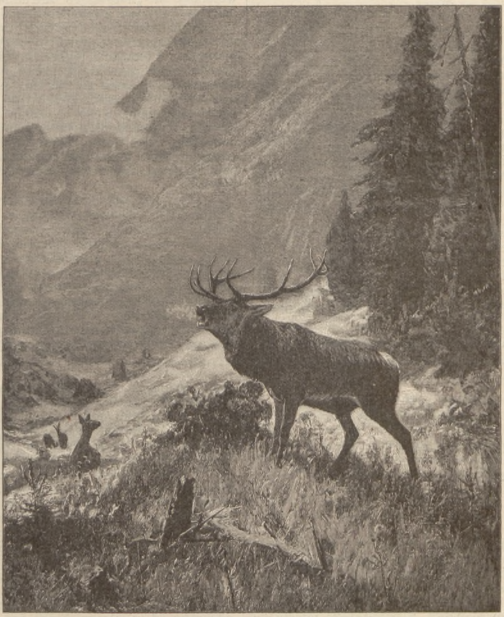
ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 84

Nr. 18. | Warszawa, 3 (16) września 1902 r. | Rok IV.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.



NA RYKU.

Ekonomiczno-społeczne znaczenie łowiectwa.

Groszoróbstwo, będące dominującą cechą naszego wieku, uśmiecha się ironicznie na widok rozpromienionego oblicza myśliwego, który po wielu trudach, z uznojonem czołem powraca do domu, niosąc plon swej pracy w postaci paru ptaszków lub paru sztuk jakiejkolwiek, małą realną wartość przedstawiającej zwierzyny. Ztąd wniosek prosty, że gra nie warta świeczki, polowanie nie daje żadnych korzyści, przeciwnie—jest tylko kosztowną zabawką i t. d.

A jednak tak nie jest. Łowiectwo wogóle miało i ma dużo społeczno-ekonomiczne znaczenie po wszystkie czasy i dla wszystkich narodów.

Dla ludzi, którzy tylko cyfry uważają za argument przekonywający, przytoczymy tu referat p. Karola Hiltla, odczytany na kongresie łowieckim, który odbył się w roku zeszłym w Wiedniu. Referat ten, zatytułowany: „Znaczenie łowiectwa pod względem ekonomicznym"*), opracowany został na podstawie statystycznych danych zebranych w Austryi i przedstawia stan łowiectwa w monarchii Habsburgów; wnioski jednak p. H. o społecznem i ekonomicznem znaczeniu łowiectwa dają się uogólnić tak, że przytoczenie tego odczytu uważamy za pożyteczne.

* * *

Jeżeli wspomnimy — pisze p. Hiltl—na poważne niebezpieczeństwa, które zagrażały życiu człowieka przy przedsiębraniu w dawnych czasach łowów na niedźwiedzie, wilki i tury, a które nie zmniejszyły się dla myśliwych, polujących jeszcze dziś w podzwrotnikowych lub podbiegunowych okolicach, jeżeli odtworzymy sobie w pamięci, jak najcięższe kary na życiu i wolności stosowano za przestępstwa łowieckie w średnich wiekach; jeżeli wreszcie staną nam żywo przed oczami te nadmierne koszta, jakie połączone są z wykonywaniem prawa polowania w naszych czasach, to zaprawdę, będziemy zmuszeni przyznać, że pobudka do polowania nie leży wcale w chęci zysku, lecz jedynie i wyłącznie w namiętności.

W znakomitem swem dziele mówi *Oberländer*: „Myśliwi minionych wieków polowali nie dlatego, by dostarczyć kucharzowi zwierzyny, lecz dlatego, że byli myśliwymi, że parła ich myśliwska namiętność", a na innem miejscu: „polujemy, gdyż w naszym organizmie tkwi żyłka myśliwska". Godząc się w zupełności na te słowa, podzielamy równocześnie ze względów psychologicznych zapatrywanie Graesera, który twierdzi, że głęboka przyczyna namiętności myśliwskiej leży w odziedziczonych po przodkach czysto zwierzęcych instynktach, które w pierwotnej dobie człowieczeństwa, miały przysporzyć i wywalczyć pożywienie—z jednej strony, z drugiej zaś—skierowane były ku samoobronie w walce o byt.

Ta atoli uciecha z pozyskania zdobyczy, przechodząc w szeregu wieków z pokolenia na pokolenie, szlachetniała coraz bardziej i dziś przedstawia się jako namiętność łowiecka, gruntująca się na przyrodzonych prawach człowieka, a nigdzie i w niczem nie stojąca w sprzeczności z zasadami etyki i prawa.

Także Dimitz zwraca uwagę, że już Xenofont, uczeń i przyjaciel Sokratesa, pojmujący naukę mistrza w tem rozumieniu, co on sam — to znaczy, że rzeczywistość i praktyczność stanowią cel życia,—dalej Aryan, trybun ludowy Opian, Gracyusz Faliscus i poeta Nemezyan — przekazali nam bogaty materyał, traktujący o myślistwie z ich doby. Wszyscy oni uczcili w obszernych poematach dydaktycznych zarówno poezyę, jakoteż etyczne i estetyczne znaczenie polowania, a uwzględnili także praktyczną potrzebę, stworzywszy formalną naukę o wykonywaniu polowania. Xenofont przedstawia łowiectwo, jako wynalazek i dar bogów, za które należy im winne dziękczynienie; wielbi—i słusznie—polowanie, jako szkołę przygotowawczą do służby wojennej, a „natężające zatrudnienie", jak je Horacy nazywa, przynosi Rzymianom cześć, zdrowie i siłę.

Z podobnemi szlachetnemi, oczyszczonemi pojęciami spotykamy się prawie u wszystkich starożytnych pisarzów. Polowanie było dla Rzymian, a więc dla narodu o tak wysokiej kulturze, wprost potrzebą i środkiem do utrzymania się na raz osiągniętym szczeblu. Tak pojmował także polowanie cesarz Maxymilian I i to natchnęło go do napisania dwóch dzieł „*Theuerdank*" i „*Weisskunig*", w których poetycznie przedstawił swe życie. Tak także pojmowali, dzięki odziedziczonym po pradziadzie wzniosłym intencyom, polowanie wszyscy Habsburgowie, którzy kultywują tę szlachetną rozrywkę.

Ale i pod względem finansowym osiągnęło polowanie nadspodziewaną wyżynę, a równocześnie tem samem i znaczenie społeczno-gospodarskie.

W obec tego twierdzenia zachodzi potrzeba—przychody płynące dla gospodarstwa społecznego z polowania przedstawić wyczerpująco i postarać się o cyfrowy dowód, że polowanie w Austryi stanowi czynnik społeczno-gospodarski. Pomijamy zupełnie te rozległe przestrzenie, tak liczne w Austryi, które wprost nie są przydatne pod jakąkolwiek intenzywną uprawę, a które wymagają wielkich wydatków, przy urządzaniu na nich

*) Referat ten drukowany był w „Łowcu" lwowskim w r. z.

ELIZA

OPOWIADANIE MYŚLIWSKIE

Opracowane przez **J. K.**

(Dokończenie)

W Dolicach przez ten czas dużo się zmieniło. Stary Sędziak z początkiem roku wysłużył uczciwie emeryturę, a Paweł objął po ojcu stanowisko nadleśniczego. Rodzice z siostrami wyprowadzili się do wielkiego miasta, a Paweł sam mieszkał w starej leśniczówce. Pewnego dnia, powróciwszy z pobliskiego miasta do swego mieszkania przed wieczorem, ujrzał zdaleka jasne światło koło domu, a zbliżywszy się, przekonał się z przerażeniem, że leśniczówka stoi w płomieniach. Mnóstwo ludzi zajęło się ratunkiem, wynosząc z mieszkania, co się dało. Szczególną gorliwością odznaczała się partya przybyłych z dalekich stron robotników, zajętych w pobliżu przy budowie nowej szosy.

P. Drakowski był jeden z pierwszych, którzy pośpieszyli do ognia, i osobiście ratował dom z całem poświeceniem. Spocony od żaru i pracy, a zmokły od wody, którą gasił pożar, wrócił do domu wieczorem po chłodzie i wietrze. Nazajutrz był cierpiący, a mimo że przyjechał zaraz jeden z wybitniejszych lekarzy, chory dostał zapalenia płuc i zmarł po dniach kilku.

Paweł Sędziak podczas pożaru stracił przedmiot, którego żałował bardzo, znikła mianowicie szkatułka żelazna, w której przechowywał zagadkową szpilkę i jeszcze parę rzeczy wartościowych.

Pewnego dnia miejscowy przedstawiciel władzy otrzymuje list urzędowy od policyi w mieście gubernialnem z zapytaniem, czy w Wulchowie nie wiadomo czego o właścicielu szpilki, na której między dwoma liśćmi dębowemi ze złota, wyryte są wyrazy: „Wulchów, 9 paźdz. 62", a pośrodku tkwi ząb jeleni. Szpilkę tę odebrano od robotnika, który był zajęty niedawno przy budowie szosy w tamtych stronach. Przyniósł ją do złotnika na sprzedaż, ale ten zażądał dowodu własności, z czego robotnik nie mógł się wylegitymować. Znaleziono potem przy nim inne jeszcze kosztowności, których źródła nie mógł również wskazać. Policya jest przekonana, że wszystkie te przedmioty są skradzione, prosi przeto o rychłą odpowiedź, ponieważ podejrzany siedzi tymczasem w areszcie.

polowań. Wydatki te ponoszone z zamiłowania do polowań w górach, łożone tak na zwierzynę, jakoteż na zarząd, w szczególności na zapewnienie egzystencyi licznym rodzinom strzelców, dochodzą do wysokich rozmiarów.

Musimy natomiast wspomnieć o bardzo znacznej wartości ubitej zwierzyny, oraz o tych osobach i zawodach — jakkolwiek nie mamy tu na myśli „szewców i krawców"—które pozostają z polowaniem w ściślejszej łączności, lub też przez czasowe świadczenie usług i dostawy, bądź pośrednio, bądź bezpośrednio przy łowiectwie są zajęte.

Wychodzimy przytem z tego punktu widzenia że wcale poważna stopa procentowa ludności Austryi znajduje w tych zawodowych lub pomocniczych gałęziach pracy swe utrzymanie i że wskutek ubytku, tego źródła zarobkowania — ewentualnie wskutek nadania każdemu wolności prawa polowania—wytworzyłaby się bezwarunkowo kwestya zagrożenia ich bytu.

Należy również wymienić czynsze z dzierżawy prawa polowania, które z biegiem czasu dosięgły wysokości, o której jeszcze przed dziesiątkami lat ani marzyć nawet nie było można. Czynsze te stanowią dla mniej zamożnych, w szczególności dla gmin w górach, wprost warunek egzystencyi. Dalej nie możemy pominąć dochodu z kart, uprawniających do polowania i ze stempli. Pierwsze przypadają z reguły funduszowi gminnemu lub dobroczynnym instytucyom gminy, drugie—państwu.

W końcu należy wspomnieć o daninach z okazyi wykonywania prawa polowania na krajowy fundusz ubogich, które łącznie reprezentują wcale poważne kwoty. W obec tego wszystkiego, nie możemy wcale zaliczać do rzędu bajek twierdzeń niektórych z szczęśliwych dzierżawców prawa polowania, jeżeli głoszą, że ich jeden ubity jeleń wraz z odszkodowaniem za szkody, polowaniem zrządzone, kosztuje 1000—2000 koron, zając natomiast 5 do 10 koron.

Tak więc wartość samej zwierzyny nie może być tu ze względu społeczno-gospodarskiego brana za podstawę.

Te różnorodne, a w sumach imponujące, źródła dochodów z polowania zasługują tem więcej na uwagę, że obowiązujące w Austryi prawa polowania i prawa chroniące zwierzynę, pozwalają właścicielowi obszaru polowania dochodzić i uzyskać pełne odszkodowanie za wszelką zrządzoną szkodę i to w sposób jak najkorzystniejszy dla właściciela. Tak samo może występować właściciel przeciw nadmiernemu stanowi zwierzyny.

(D. c. n.).

Prochy małodymne

przez

Władysława Słonczyńskiego.

(Dalszy ciąg).

Spalanie się prochowego ziarna (jak w prochu „E. C.") lub płatka (jak u „Liszewa") idzie od zewnętrznej jego powierzchni ku środkowi.

Weźmy ziarno — jak w prochu „E. C." lub płateczek—jak w prochu Liszewa—ściśle i zupełnie jednolite w swoim fizycznym ustroju, czyli jednakowo ściśle we wszystkich swoich słojach. Spalanie się takiego ziarnka lub płateczka będzie się posuwać równoległemi słojami od zewnętrznej powierzchni do środka, przyczem w pierwszym, bardzo nieznacznym, przeciągu czasu po zapaleniu się całego prochowego ziarna, ilość tworzących się prochowych gazów będzie większa, aniżeli w następnym—a to dlatego, że powierzchnia palenia się ziarna będzie w pierwszej chwili większa w porównaniu z następującą. Wielkość następnego zwiększania się ilości gazów, tworzących się przy spalaniu się prochu, w określonym czasie zmniejsza się stopniowo, ogólna zaś ilość utworzonych prochowych gazów będzie się stopniowo zwiększać. Jeżeli ścisłość prochowego ziarna jest taka, że ono nie będzie rozdrabniać się ciśnieniem tworzących się prochowych gazów, które wtedy nie będą mogły przenikać na znaczną głębokość w masę ziarna—wtedy nie będzie zwiększać się powierzchnia palenia się ziarna i warunki stopniowego spalania się nie będą naruszone.

Własności takiego prochu będą następujące: działanie jego w kanale broni będzie jednostajne, a ta jednostajność wyrazi się małemi wahaniami początkowych szybkości pocisku, jakoteż jednostajnemi ciśnieniami, jakie prochowe gazy rozwijają. Ciśnienia będą niewielkie i można będzie je regulować formą, jakoteż i wielkością prochowych ziarn.

Ściśnięcie w gilzie ładunka prochu *o wielkiej ścisłości,* nie okaże znaczącego wpływu ani na szybkość początkową, ani na ciśnienie prochowych gazów, a to dlatego, że przytem ziarna prochu nie zmieniają swej formy i nie są rozdrabniane.

Przy prochu *o małej ścisłości* pod wpływem ściśnięcia ładunka prochu w gilzie, może nastąpić powiększenie ciśnienia nawet w tym razie, jeżeli kształt ziarn przy ściśnięciu nie ulegnie zmianie przez zgniecenie, i one nie będą rozdrobnione. Przedstawmy sobie, że

---

Wulchowski przedstawiciel władzy, jak zresztą każdy niemal mieszkaniec Wulchowa, znał dobrze tę szpilkę, odpowiedział więc natychmiast, że ona była niegdyś własnością obywatela Drakowskiego. Ten jednak już teraz nie żyje, a jedyną jego córką i spadkobierczynią jest żona p. Neuhofa, właściciela dóbr pod owem właśnie miastem gubernialnem.

Gdy policya zwróciła się do Neuhofa z zapytaniem o tę szpilkę, otrzymała odeń odpowiedź, że szpilka jest jego własnością, bo zmarły teść ofiarował mu ją na pamiątkę d. 2 listopada roku poprzedniego. Musiał ją zapewne zgubić kiedyś w Wulchowie na spacerze, a ów robotnik ją tam znalazł niewątpliwie. Prosił więc o łaskawe odesłanie przedmiotu.

Jednocześnie prawie z listem Neuhofa policya otrzymała drugie pismo od nadleśniczego Pawła Sędziaka z Dolic obok Wulchowa. W liście tym Paweł oświadcza, że szpilka do niego należy, ale ją skradziono podczas pożaru. Szpilkę—pisał Paweł— otrzymałem d. 3 listopada r. z. od p. Drakowskiego na pamiątkę. Powołał się też na inne przedmioty wartościowe, które wraz ze szpilką mieściły się w skradzionej mu szkatułce żelaznej. Do listu dołączył opis szczegółowy tych przedmiotów i prosił o odpowiedź, czy policya nie natrafiła przypadkiem także na ślad tych kosztowności.

Otrzymawszy takie dwa listy o wręcz sprzecznej treści, policya, oczywiście bardzo tym wypadkiem zdziwiona, wdrożyła śledztwo przeciw obydwom autorom listów. Po kilkakrotnem przesłuchaniu robotnika, ten przyznał w końcu, że skradł wszystko wraz ze szkatułą podczas pożaru w Dolicach. Nie ulegało już wątpliwości, że ostatnim właścicielem szpilki był p. Sędziak. Jeżeli jednak Neuhof zgubił ją, jak twierdzi, w Wulchowie, to nadleśniczy nie przedstawiając dowodu, że p. Drakowski istotnie mu podarował tę szpilkę, tem samem będzie sądzony, jako przywłaszczyciel cudzej, znalezionej własności.

Wydelegowano wnet zdolnego sędziego śledczego do majątku Neuhofa i do siedziby Sędziaka. Urzędnik, przybywszy do Neuhofa, powiedział mu tylko ogólnikowo, nie wymieniając nazwiska, że ktoś rości sobie pretensyę do tej szpilki na tej zasadzie, iż d. 3 listopada r. z. otrzymał ten przedmiot od p. Drakowskiego. Oburzony tem jawnem kłamstwem, Neuhof podpisał się zaraz pod protokółem, oskarżając owego człowieka o przywłaszczenie sobie szpilki i oświadczając, że postawi świadków na to, iż teść mu podarował ją d. 2 listopada.

Sprawa wikłała się coraz bardziej. Jedne zeznania sprzeciwiały się drugim, a w końcu Paweł znalazł

przy robieniu ładunku proch został *przyciśnięty normalnie*, odpowiednio do danego prochu, czyli jego ścisłości. W pierwszej chwili od momentu zapalenia się ładunku (zanim pocisk ruszy z miejsca) ciśnienie rozwijających się gazów prochowych będzie takie, że gazy nie będą w możności przeniknąć do środka prochowego ziarna, a wskutek tego spalanie to będzie się odbywać równomiernie i stopniowo.

Przedstawmy sobie teraz, że ładunek prochu tejże wagi, jak w powyższym wypadku, będzie *silnie ściśnięty* w gilzie, czyli, że ta sama ilość prochu będzie zajmować mniejszą przestrzeń. Zastanawiając się jak w poprzednim wypadku nad procesem spalania się prochu do chwili, gdy pocisk rusza z miejsca, i przyjmując, że szybkość zapalania się oddzielnych prochowych ziarn w obu wypadkach jest jednakowa, przekonamy się, że taż sama ilość prochowych gazów mieścić się będzie w mniejszej przestrzeni, ciśnienie ich zatem o tyle będzie większe, o ile przestrzeń, jaką ładunek prochu zajmuje (w drugim wypadku), jest mniejsza.

W tem miejscu nie od rzeczy będzie nadmienić, że szybkość zapalania się prochu, znacznie jest większą od szybkości jego spalania się. Zastanowiwszy się nad drugim przykładem musimy dojść do przekonania, że czem silniej proch jest w gilzie ściśnięty (przybity) tem ciśnienie prochowych gazów będzie większe; a przy bardzo silnem ściśnięciu (przybiciu) ciśnienie może rozwinąć się do granic, przy których ścianki lufy nie będą w stanie wytrzymać naporu, i muszą pęknąć.

Na zasadzie przytoczonych obserwacyj jasnem staje się zjawisko, że *przy silniejszem przybiciu prochu będą się zwiększać ciśnienia, jakie rozwiną prochowe gazy*, i to niezależnie od tego, czy przy ściśnięciu prochowe ziarna będą pogniecione, czy nie. Ostatnia okoliczność będzie wpływać jeszcze na zwiększenie ciśnienia gazów.

Z badań nad czarnemi prochami przekonano się, że ciśnienia gazów prochowych zwiększają się proporcyonalnie do siły ściśnięcia (przybicia) prochu w gilzie.

W małodymnych prochach o małej ścisłości, zwiększając siłę przybijania prochu, rozwijamy ciśnienia gazów w daleko znaczniejszym stosunku, w porównaniu z tym, jaki istnieje przy czarnych prochach. I oto dlaczego dla podniesienia ostrości strzału nie należy uciekać się do silniejszego przybicia prochu; przyrost ostrości będzie bardzo nieznaczny, ciśnienia jednak mogą być zawysokie i niebezpieczne dla broni.

Powiedzieliśmy wyżej, że przy bardzo ścisłym prochu, jak np. Liszewa (lub „Sokół"), wpływ silnego przybicia prochu będzie nieznaczny.

Zjawisko to, stwierdzone doświadczeniem i odpowiedniemi próbami, będziemy się starali objaśnić.

Przy silnem przybiciu w gilzie prochu Liszewa zauważymy nieznaczne zwiększenie ciśnienia, ale o wiele mniejsze od ciśnienia w mało ścisłych ziarnistych prochach wogóle, a prochach „Schultze" i „E. C." w szczególności. Nieznaczne powiększenie się ciśnień dla prochu Liszewa („Sokoła") daje się wytłómaczyć wielką ścisłością tego prochu, jak i tem, że proch ten *bardzo wolno się pali*. Przy zapalaniu się ładunku rozwijanie się prochowych gazów posuwa się na tyle wolno w porównaniu z prochami o małej ścisłości, że pocisk zdąży ruszyć z miejsca, zanim w przestrzeni zajmowanej przez ładunek nagromadzi się ilość gazów mogących wywołać podniesienie ciśnienia. Kiedy tylko pocisk ruszył z miejsca, proch spala się na znacznej przestrzeni, w wygodniejszych warunkach, nie dopuszczających zwiększenia się ciśnień.

(D. c. n.).

Jeszcze o bojowniku.

(Dokończenie.)

Powyższe obserwacye uzupełniamy jeszcze danemi, zaczerpniętemi z dzieła W. Taczanowskiego „Ptaki Krajowe." Oto co mówi o bataljonach nasz znakomity ornitolog:

Bojownik mieszka przez lato w Europie i w Azyi umiarkowanej, zbyt daleko nie posuwając się na północ; na zimę przenosi się na południe i zwiedza wówczas całą Afrykę, aż do Przylądka Dobrej Nadziei (VERREAUX). U nas pospolity na wszystkich większych błotach, a na przelotach trafia się w całym kraju. Gnieździ się najobficiej w Lubelskiem, na rozległych błotach między Wieprzem i Bugiem, w stykających się częściach powiatów lubelskiego, radzyńskiego i krasnostawskiego, i sąsiednich Podlasia, około Biały i Brześcia; równie prawie obfity nad kanałem Augustowskim, na łąkach Biebrzańskich i w okolicach Tykocina, w mniejszej liczbie przy niektórych jeziorach okolicznych i w powiecie marjampolskim nad jeziorem Amalwą i bagnie Pojeziorskiem, w Płockiem na Gutosze i Pulwach, z lewej zaś strony Wisły na błotach pod Łowiczem i Łęczycą.

Z wiosny zaczynają się pojawiać w początku kwietnia stadami mniej więcej licznemi i zatrzymują się na krótko wszędzie po większych błotach wraz z innem ptastwem ciągowem. Samce mają już wówczas pióra ozdobne na ciele, ale kołnierze i kaptury dopiero wyrastać im zaczynają i mało jeszcze od odzieży odstają, a korale zaledwo z między piór zaczynają się

---

się w takiem położeniu z powodu oskarżenia Neuhofa, że dla obrony własnej nie pozostało mu nic innego, jak wyznać, przy jakich okolicznościach szpilka przeszła w jego posiadanie.

Sędzia śledczy skorzystał skwapliwie z tego wyznania.

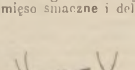
Stwierdzenie przez samego Neuhofa przy pomocy świadków, że Drakowski obdarzył go istotnie d. 2 listopada tą szpilką, było już dostatecznym aktem oskarżenia o zabójstwo, popełnione na osobie gajowego. Gdy więc zaczęto badać ówczesną służbę we dworze wulchowskim, Andzia, była pokojówka Elizy, zlękła się wprawdzie straszliwie, ale w końcu wyznała, z czego się Neuhof zwierzył Drakowskiemu, kiedy ona ich podsłuchiwała. Uwięziono wnet Neuhofa, a po upływie dwóch miesięcy odbyło się sądzenie jego sprawy. Przekonywającym dowodom swej winy nie usiłował już nawet zaprzeczyć, zeznał tylko, że w owym dniu nieszczęsnym na miejscu, gdzie znaleziono zwłoki Konicza, ten go podszedł z tyłu i uchwycił za ramię, jako kłusownika. Konicz stał ukryty za drzewem sosnowem i czatował nań, gdy chciał ubić jelenia. Chwytając Neuhofa, stary gajowy wypuścił z rąk własną strzelbę. Pasując się ze starym Koniczem, Neuhof schylił się ku ziemi, podniósł broń i w rozdrażnieniu, nie panując już nad sobą, odwiódł kurek. Padając, gajowy wyrwał mu zapewne szpilkę z krawatu, bo trzymał wówczas kłusownika za szyję. Neuhof rozdrażniony strasznie przez kilka dni po wypadku, nie spostrzegł nawet braku szpilki. A gdy widział, że jej niema, nie zwrócił na to szczególnej uwagi. Na zasadzie tych zeznań sąd skazał Neuhofa na wieloletnie odpokutowanie zabójstwa w twierdzy. Ale snadź spodziewał się tego wyroku, bo siedząc w więzieniu jeszcze przed osądzeniem sprawy, postarał się o rewolwer, a nazajutrz po odczytaniu mu hańbiącego wyroku, znaleziono Neuhofa zastrzelonego w celi więziennej.

W rok po tym wypadku Eliza przeprowadziła się do nowowybudowanej leśniczówki w Dolinach, jako żona Pawła.

pokazywać. Gdy się udadzą na błota lęgowe, około 10 maja, mają już ozdoby całkowicie uformowane. Osiedlają się na błotach w jednych miejscach z rycykami (*Limosa melanura*), krwawodzióbami (*Totanus calidris*) i czajkami (*Vanllus cristatus*). Wybierają miejsca mniej mokre, dosyć wysoką, lecz niegęstą trawą zarastające. Potrzebują zawsze mieć w blizkości jeziora, rzeki, rowy lub zalewy, mające brzegi szlamowate lub spławiaste, na które zgromadzają się dla odbywania toków. Na większych błotach, gdzie się w obfitości wywodzą, mają zwykle po kilka tokowisk w pewnem od siebie oddaleniu, na które zlatują się nieustannie samce i samice; te ostatnie po odbytem parzeniu rozlatują się na błota okoliczne, a niekiedy zdala przybyłe pociągają za sobą pewną liczbę samców, które już przez kilka dni przy nich zabawiają, z bliższych zaś miejsc niezwłocznie na tokowiska wracają. Stojące na miejscu ptaki, gdy dostrzegą przelatujące w odległości, podskakują, aby je zwabić do siebie. Wszystko to odbywa się bardzo cicho, lecz przy ciągłych bójkach przez samców wyprawianych. Skoro tylko siądą na ziemi, najeżają się i rzucają się do walki bez żadnego powodu, skacząc do siebie pociesznie, jak koguty, mocniejsze przysiadają słabszych i czubią, chociaż żadnej szkody nie są w stanie wyrządzić, nie mając do tego żadnych stosownych oręży. Gra ta odbywa się po całych dniach przez cały maj i pierwsze dni czerwca. W miejscach tych schadzek trawa bywa zupełnie wydeptana, zasłana piórami i pomiotem. Samce po odbyciu jej natychmiast z naszych stron nagle odlatują, nigdzie nie zatrzymując się w blizkości. Samice same jaja wysiadują i pielęgnują do końca potomstwo.

Gniazda ścielą w trawie po kępach, na których w wygrzebanym dołku uścielają je z traw suchych, tak samo jak brodźce i szlamniki. Samica dość twardo siedzi na jajach i nieraz z pod nóg się porywa, nie zważając na wrzaski innych ostrożniejszych ptaków; najczęściej jednak zawczasu pieszo odchodzi i zrywa się z pewnej odległości. Później zalatując w koło nieprzyjaciela, często przysiada i biegnie widocznie po trawie. Głos wydaje głuchy, krótki, chrząchająco chrapliwy. Przy dzieciach zostaje, póki te nie wyrosną; potem natychmiast błota lęgowe wraz z niemi opuszczają, zebrawszy się w stada z innemi rodzinami dorastającemi. Zacząwszy od końca czerwca spotyka się je pojedyńczo lub w stadach, mniej więcej licznych, po błotach całego kraju i nagich szlamowatych wybrzeżach rzek i jezior, kałuż polnych i pastwiskowych. Przelatujące z północy pokazują się do połowy października, niekiedy nalatują one w tak licznych gromadach, że je na tysiące obliczać można.

Samce w ogóle są ostrożniejsze od samic, rzadko kiedy dozwolą się podejść na widoku, ale z za lada krzaczka lub jakiejkolwiek nędznej zasłony łatwo się do nich zbliżyć. Młode lotne tak są nieostrożne, że po strzale do nich nie zawsze się zrywają. Przed psem nie przypadają, lecz szybko wyciekając, prawie zawsze podrywają się w odległości strzału. Z wiosny najłatwiej je bić z budki, postawionej przy toku i byle się im z niej nie pokazywać bezustanie przylatują; łatwo się także biorą na sidła w tem miejscu zastawione. W niewoli doskonale hodować się dają, karmić je można moczonym chlebem i innemi roślinnemi pokarmami; pocieszne są bardzo z powodu dziwnych obyczajów i nieustannych bójek; wolno na stancyę puszczone, obierają sobie pewne stanowisko, na które towarzyszów swoich nie dopuszczają. Lot bojowników jest lekki, równy, nie zbyt szybki; przelatując gromadnie zbijają się tak gęsto jak szpaki, to znowu rozpraszają się szeroko; w dalszych podróżach ciągną dosyć wysoko, w nieregularnych szeregach. Pod jesień bardzo się wypasają i dają mięso smaczne i delikatne.



Próby polowe wyżłów.

Warszawski Oddział Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa urządził dorocznym zwyczajem w d. 6 b. m. próby polowe wyżłów (*field trial*) na polach folwarku Służewiec, grzecznie na ten cel użyczonych przez hr. Ksawerego Branickiego. Dzień był względnie dość szczęśliwie wybrany, gdyż pogoda stale sprzyjała konkursowi. O wschodzie słonca zebrała się nad ziemią dość gęsta mgła, która powoli unosząc się ku górze, zamieniła się na drobną rosę, padającą przy słabym północno-zachodnim wietrze. Był to czas idealny dla pracujących psów, gdyż umiarkowana wilgoć powietrza i dość nizka temperatura pozwalała im wykazać wszystkie przyrodzone zalety. Od południa jednak rozjaśniło się i słońce zaczęło silnie przygrzewać, pole wkrótce stało się suchem, jak pieprz, co znakomicie zmieniło warunki próby dla psów, pracujących po południu. Znaczną tę różnicę sędziowie konkursu uwzględnili.

Nowością w tegorocznym konkursie było wyznaczenie oddzielnych nagród dla psów w pierwszem polu, gdy na poprzednich próbach wszystkie psy—czy to starsze, czy w pierwszem polu były razem sądzone. System nowo wprowadzony jest praktykowany na wszystkich zagranicznych field-trialach.

Komplet sędziów składali pp. Aleksander Patzer, Aleksander Szwede, Stanisław Lilpop, Józef Zarembski i Wacław Paszkowski; z grona tego jednak wystąpił p. Lilpop, jako właściciel psa, biorącego udział w próbach. Wtedy przez losowanie z pomiędzy zastępców wybrano p. Henryka Malhomme'a.

Na żaden z dotychczasowych konkursów nie przedstawiono jeszcze tak pokaźnej liczby psów, jak na obecny, zapisy bowiem zamknięto liczbą 16 wyżłów, z pomiędzy których tylko jeden „Eros" nie stawił się do apelu. Tak więc sędziowie mieli pracowite zadanie wypróbowania aż 15 kandydatów do nagród.

O godzinie $7\frac{1}{2}$ rano liczne grono osób, złożone z sędziów, wystawców i amatorów, zainteresowanych rezultatem konkursu, zebrało się na stacyjce w Służewcu. Rozlosowano porządek próbowania psów, a po wybraniu p. Szwedego przewodniczącym *jury*, przystąpiono do próby.

Teren przedstawiał się jako obszerne łany ściętej koniczyny, ściernia, kartofli, koniczyny nasiennej i buraków. Fatalnem dla próby było koncentrowanie się kuropatw w koniczynie nasiennej, wiadomo bowiem, z jakim trudem najlepsze nawet psy odnajdują w niej zapadłe kuropatwy. Niemniej jednak sąsiednie ściernie i kartofle dawały sędziom sposobność próbowania psów na bardziej otwartym terenie.

Konkurs prowadzono z przerwą godzinną na śniadanie do godziny 5-ej po południu, poczem sędziowie udali się do Warszawy, gdzie w lokalu Towarzystwa po odbytej naradzie ogłoszono rezultat następujący:

Psy starsze. I-ą nagrodę (100 rubli i medal złoty) otrzymał wyżeł niemiecki „Mars" w drugiem polu — własność p. Stanisława Lilpopa.

II-ga nagroda (75 rubli) pointer angielski „Morre", znany z Warszawskiej wystawy psów — własność bar. Dewitzowej.

III-ą nadrodę (50 rubli) otrzymał również znany z Wystawy „Pik" — wyżeł niemiecki p. Szostaka z Kuflewa.

Psy w pierwszem polu. W tym dziale nie przyznano I-ej nagrody, a tylko dwie drugie (po 30 rubli) psom: „Burowi"—setterowi irlandzkiemu kap. Hermana i „Miss Maud"—angielskiej setterce p. Oskara Saengera.

Nadto z mocy przywileju, przysługującego sędziom, wyznaczono 15 rubli nagrody strzelcowi Stańczykowi, dreserowi pozostającemu na służbie u p. Saengera.

Ten rezultat sądu był dosyć niespodziewany, zarówno dla niektórych właścicieli psów, jak i dla osób postronnych, śledzących za całkowitym przebiegiem konkursu. Przedewszystkiem przyznanie najwyższej nagrody „Marsowi" uważalibyśmy za niedostateczne umotywowane, gdyż pies ten nie był należycie wypró-

bowany na otwartym terenie, a tem samem nie można było sobie wyrobić dostatecznej opinii o ostrości jego wiatru. Wystawił on wprawdzie kilka kuropatw w bardzo gęstej koniczynie, ale też i spłoszył ich kilka. Nadto nie mamy dostatecznego pojęcia, jakie ten pies ma chody na zupełnie otwartym terenie i jak wielkie pole zakłada, co jest koniecznem do decydowania w field-trialu, wzorowanym na angielskich próbach tego rodzaju.

Przyznanie drugiej nagrody „Morre'owi" uważamy również za mniej szczęśliwe, gdyż pies ten wykazał wiatr ledwie średni, a w tresurze jego widoczną też była niezbyt twarda ręka kobieca. Podług więc naszego zdania pies ten zasługiwał na 3-ą nagrodę.

Dlaczego też nie przyznano żadnej nagrody doskonałej suce p. Saengera „Jacqueline" (w pierwszem polu), która oprócz niepotrzebnego zacięcia się parę razy nie popełniła ani jednego błędu, okładała znakomicie, wykazała doskonały apel i wiatr bardzo dobry. Jej się prędzej należała nagroda w dziale przychówku, aniżeli „Burowi," który dwukrotnie spłoszył kuropatwy, idąc po ich cieku. Pies ten wykazał znakomite chody i doskonały sposób szukania, ale powyższemi błędami dowiódł, że albo nie ma jeszcze dostatecznie wyrobionej stójki (co się łatwo trafić może u psa w pierwszem polu, forsownie tresowanego), albo-li-też—że ma wiatr słaby i idąc za ciekiem, nie zdaje sobie sprawy, czy kuropatwy są przed nim na 100, czy na 5 kroków.

Niedostatecznie też wypróbowano pięknego settera angielskiego „Sama" (własność p. Saengera). „Sam" puszczony był w najgorszych warunkach, po południu na silnym skwarze słonecznym. Chodził blizko godzinę, nic nie znalazłszy, oprócz dwóch zajęcy, które doskonale wystawił i które położeniem się na miejscu salutował. Gdy go następnie wprowadzono w gęstą nasienną koniczynę, wystawił pojedynczą kuropatwę, a potem drugą spłoszył. Jeżeli ten ostatni czyn uznano za dostateczny do odsądzenia go od nagrody, toć przecież i „Mars"—nagrodzony I-ą nagrodą ten sam błąd popełnił.

Dla nas tegoroczny konkurs wykazał, że konieczną jest subtelniejsza klasyfikacya psów przy próbowaniu; że nie należy nigdy psów niemieckich stawiać do próby na równi z angielskiemi, gdyż różnych przymiotów wymagać należy od jednych jak od drugich. Takie próbowanie psów różnych ras w czambuł dobre było, gdyśmy nie wiedzieli, czem rozporządzać możemy. Lecz dzisiaj, gdy coraz częściej pojawiają się na naszych konkursach psy czystej krwi—zarówno angielskie, jak i niemieckie—należałoby je próbować w dwóch oddzielnych klasach, dostosowując punktacye do właściwości każdej rasy.

Jan Sztolcman.

Reumatyzm mięśni i stawów u psów.

Reumatyzm u psów objawia się przeważnie w muskułach i stawach, a symptomata w przybliżeniu są te same, jak przy artretyzmie i reumatyzmie u ludzi, dające się poznać po silnem zapaleniu, połączonem z febrą, nabrzmieniem i silnym bólem. Psy, podlegające tej chorobie nie mogą poruszać członkami i wyją przy każdym ruchu z bólu. Szczególnie wchodzenie na wyższe miejsca jest im utrudnione, a to jest oznaką osłabienia kręgosłupa. Wogóle przy tych cierpieniach występuje krzywienie lub nieforemne zrastanie się stawów. Leczenie za pomocą środków wewnętrznych nie usuwa choroby, a szczególnie zastarzałe choroby rzadko dają się wyleczyć, i leki często przeciwny skutek wywierają, wywołując chorobę serca i nerek, a biedne psiska kończą zwykle w strasznych męczarniach. Jeżeli choroby te mają źródło w złem odżywianiu, w początkach można jeszcze zapobiedz im, a nawet zupełne wyleczenie jest możliwe.

Reumatyzmu nabawiają się głównie wyżły, pracujące dużo w wodzie, skoro myśliwy nie zwraca uwagi, aby pies jego zupełnie wysechł i nie zapobiega przeziębieniu.

Następnie podlegają tej chorobie psy pokojowe, z braku ruchu i z nadmiernego i intenzywnego odżywiania, nie zbliżonego do naturalnych pokarmów. Krzywdę wyrządza myśliwy, karmiąc swego ulubieńca li tylko mięsem w tej postaci, w jakiej sam spożywa, zwykle silnie przyprawionej ostremi domieszkami. Mięso tylko w stanie surowym jest posilające, gdyż zawiera w sobie krew, której sole i związki organiczne działają wzmacniająco i zasilająco na rozrost i elastyczność mięśni i stawów, a dowodzenie to oparte jest na doświadczeniu powag lekarskich, którzy twierdzą, że brak naturalnych związków soli organicznych w pokarmach tamuje tylko regularne trawienie i wywołuje przeróżne komplikacye.

Jeżeli więc chcemy mieć pożytek z naszych towarzyszy polowania i uchronić je od tej choroby, należy nam zwracać uwagę na ich odżywianie się, częsty ruch i strzeżmy je od zaziębienia, a jeżeli zarodek tej choroby spostrzeżemy, leczenie można zastosować tylko odpowiednio do natury psa, przez pocenie i stosowanie tak zwanych opakunków, gdyż wszelkie dotychczasowe próby środków medycznych wewnętrznych wykazały dotąd tylko ujemne rezultaty.

W wielu wypadkach następujący sposób leczenia okazał się skutecznym.

Sprawdziwszy stan febryczny u psa (a przekonać się można, badając temperaturę za pomocą termometru wprowadzonego do kiszki odchodowej, który w danej chwili wskaże nam 39—41° C.), należy je krótko wykąpać w wodzie mającej 15 — 18° i szybko następnie zawinąć go w jedną lub dwie wełniane kołdry. Usuwa się przez to dreszcze febryczne i następuje transpiracya. Jeżeli febra nie ustępuje, ponawia się obmywanie chłodną wodą. Opakunek nie może trwać dłużej, jak dwie godziny. Zapalone i obolałe stawy obwija się grubo mokremi szmatami, na wierzch znowu kładzie się znowu wełniane bandaże. Skoro wyschną powtarza się zmoczenie i ponowne obwijanie, nie później jednakowoż, jak po dwóch godzinach.

Jeżeli pies nie okazuje już wielkiego cierpienia, ostrożnie należy stawy masować ręką, naturalnie do tej manipulacyi wprzódy potartą jakimś tłuszczem. Pies w ten sposób leczony zwolna przychodzi do siebie, pozbywa się obrzmienia i bólów.

Takie kąpiele można stosować i ciepłe, opakunek ten sam jak wyżej, lecz tylko suchy w wełniane kołdry. Temperatura wody początkowo powinna wynosić 28° R. i zwolna powiększa się temperaturę kąpieli do 32° R. dolewaniem gorącej wody. Po wyjęciu psa z kąpieli krótko oblewa się letnią wodą, najmniej 15° R., i zawija się w zwykły opakunek.

Stosowanie kąpieli słonecznych, trwających półgodziny także w niektórych wypadkach jest skuteczne, po których następuje krótkie obmycie i zwykły opakunek.

Silniejsze psy z natury mogą przechodzić dziennie dwie manipulacye, słabsze zaś raz dziennie lub też co drugi dzień.

Powyższe sposoby leczenia dały jedynie dobry skutek, a zbliżone są do typu, jaki zwierzętom, chowającym się na wolności, wskazała sama natura.

Parę tygodni na Polesiu.

(Dokończenie)

O 2-ej budzimy się, a o $2\frac{1}{2}$ ruszamy na grę, każdy w swoją stronę. W pół godziny już byłem na miejscu, skąd już śpiew słyszeć można. Ciemno jeszcze bardzo, stoimy z Fedką $2\frac{1}{2}$ godziny. On zostanie na miejscu, a ja sam będę skakał. Ale czy się odezwie—czy nie? A nuż spłoszyłem. Nareszcie klapac zaczyna—już to bez Fedki słyszę—ale czy zaśpiewa? Zaczyna! Znowu drżenie, szum w uszach. Pozwoliłem mu prześpiewać kilka pieśni—i marsz. Nie miałem dalej jak 150

kroków pod tę sosnę, pod którą wczoraj doskoczyłem i jeszcze nic nie widzę. Co prawda $3^1/_2$ g. to jeszcze nieprzedświt nawet. A stary łowczy uczył: „Jak pan podskoczy — i zobaczy na metę to trzeba odpocząć—ochłonąć, przyjść do siebie, bo inaczej tak panu ręce będą latać, że pan do pnia o 5 kroków chybi. A strzelać tylko w pieśni—bo jak się spudłuje zupełnie, to można drugi raz poprawić". Odpoczywam, stoję—słucham, lubuję się tym obrzydliwym śpiewem—choć ręce jeszcze drżą, próbuję podnieść flintę, przekonać się czy choć muszkę zobaczę. Ale ciemno, nic widzę muszki. Nareszcie po kilku minutach rozróżniam głuszca, siedzącego między bardzo gęstemi gałęziami. Ba - ale piersiami do mnie, a p. Karol mówił, żeby w piersi nie strzelać, tylko do boku, bo ptak może polecieć. Już dobrze odróżniam łeb, ogon, ale tylko piersi widzę i to między widłowatemi gałęziami. Miałem jeden z bezdymnym prochem ładunek w czoku; składam się, ale jeszcze muszki nie widzę—jeszcze odpoczywam, znowu się składam—już strzelba nie drży—strzelam i głuszec spada... ale na mech! A niechże cię wszyscy djabli wezmą! Zły strasznie. Fedko mnie pociesza, że on musiał spaść, że mu się zdawało, iż słyszał niedaleko łopot, że go może znajdziemy! Dobry sobie. Znaleźć głuszca zabitego tam, to jak szpilkę w stogu siana! Rozwidniło się trochę. Fedko zaczyna szukać i znajduje kilka przestrzelonych piersiowych piór. No więc dostał—ale nie został.

Wracam do budanu. P. Karol powiada, że i jemu się zdawało, jak swojego podchodził, że słyszał łopot, decyduje, że powinien zostać, bo pióro piersiowe, a proch bezdymny. Pójdziemy szukać. Zły jestem, ale idę choć wiem, że na próżno. Poszło nas sześciu—no i Fedko znalazł. Byłbym go z radości uściskał, żeby nie był taki brudny, ale on wolał pewnie parę rubli, jak mój uścisk platoniczny. Więc jest pierwszy—nareszcie!

P. Michał pojechał do innego rewiru, dokąd i my podążyliśmy na obiad i także zabił głuszca. Ale i jemu nie z dymem spadł, bo podnosząc strzelbę do strzału, w grubych rękawiczkach chcąc strzelić z lewego czoka, spuścił kurek, nim wziął na cel, głuszec się porwał; myśliwy strzelił w lot i strażnik znalazł. Ponieważ miał to być śliczny rewir i cudowna okolica, jak utrzymywał p. Michał, więc z p. Karolem podążyliśmy tam na noc. Przeprawiliśmy się promem przez rzekę Stwihę, potem las, błoto, brody piaszczyste, góry, a dalej przeprawa kładkami przez mech ze $2^1/_2$ wiorsty. Straż rzeczy zabrała, my idziemy. Znów zimno, śnieg prószy, wicher szalony. Co to za zasad! Ale p. Karol zasadził dwa, ja nic. Kładziemy się spać—pada i kapie na posłanie z siana; p. Karol w wilczym fusaku, a jednak burczy. Niema rady, kołdry obie przemokły, a choć w ubraniu się leży—czuję, że i skóra łosiowa mokra. Trzeba się na brzeg budanu pod ogień zbliżyć. Ale tam znowu poczciwi Poleszucy, którzy z pewnością mają inwentarze nie tylko w lesie, ale i z sobą noszą. Trudno, nie ma co. Jakoś się przemęczyło tę noc—z jednej strony ogień piecze, z drugiej i trzeciej—bo i z podłogi budanu wieje.

Rano znów wicher szalony i wróciłem z lasu z niczem. P. Karol strzelał do dwóch głuszców: jednego o 3-ej rano trudno było zabić, a drugiego przyniósł.

Nie pójdę już chronologicznym porządkiem, gdzie, kiedy i jak kto jeszcze co zabił, bo to już sporo czasu minęło i tylko ważniejsze i ciekawsze epizody w pamięci pozostały. Przejechaliśmy znów dalej duże płaskowzgórze piaszczyste, zaraz za budanem duży wylew kilkuset morgowy i mech; na mchu rzadkie karłowate sosny i położone kładki dla wygodniejszego chodzenia. Kładki te bardzo nawet wygodne, ale kiedy o $2^1/_2$ rano po oślizgłych od mrozu trzeba się skradać — z całą ostrożnością, aby się noga nie osunęła w błoto, żeby hałasem głuszca nie płoszyć, jakże się gorąco robiło! Temi kładkami trzeba przejść z $1^1/_2$ wiorsty. Po takiej podróży, trwającej z godzinę, stajemy i czekamy śpiewu. Nareszcie odzywa się. Znowu po kilku taktach śpiewu, rozpoczynam skakanie i jazda z kładek w mech. Mróz jest niezły, więc pod nogami tak, że najwyżej dwa kroki można zrobić. A po wyjęciu nogi woda bulgocze, nogi wpadają coraz głębiej, toną, nareszcie trochę wody ścieka przez cholewy. Ale ptak śpiewa, więc sunę. Jeżeli kiedy, czytelniku, będziesz, polując na głuszce, skakał po takim terenie, to uciekaj skakania dwa i pół kroków—ale skacz po jednym lub po dwa, bez połówek. Przedstaw sobie moją pozycyę: zrobiłem dwa kroki, prawą nogę mam wysuniętą do trzeciego jaknajdalej. Głuszec przerywa, nogi postawić nie można, bo chrupanie i plusk ptaka spłoszy, więc trzeba ją trzymać w powietrzu $^1/_2$ minuty, minutę, dwie; to zdaje się krótko, a tymczasem w lewej cholewie pełno już wody. Piękna sytuacya tkwić tak w mchu z jedną nogą na powietrzu! Nareszcie głuszec raczył zaśpiewać, jazda coraz bliżej i bliżej—ale sosny cienkie, niema zasłony. Wprawdzie dość ciemno, tak, że nie powinien mnie zobaczyć, trzeba się jednak spieszyć. Coraz bliżej jestem. A to pieśń taka dziwna, że trudno odróżnić, czy śpiewa o 100 kroków, czy o 20? Widzę go nareszcie na szczycie karłowatej sosny o 20 kroków. Oddycham, ale przypominam sobie, co p. Michał mówi: „Dopóki głuszca za szyję nie uścisnę, dopóty nie jestem pewien, że go mam". Odpoczywam, składam się, choć muszki nic nie widzę, wreszcie strzelam. Ptak spada jak czapka na ziemię, wypręża się, przechyla w tył i pada. Zupełnie, jak bohater w dramacie. A jednak pomimo radości myśliwego żal człowiekowi, gdy patrzy na konanie tego pięknego ptaka! Było wtedy kwadrans na czwartą, kiedy ptak ten padł.

Na drugi dzień w tem samem miejscu zasadzono trzy głuszce. Byłem sam ze strażnikiem. Ani jeden z zasadzonych nie śpiewał, tylko o $3^1/_2$ godz. głuszyca zakwoktała. Słyszałem na mchu straszny łopot i hałas. Widocznie były to zeszłoroczne krechtuny, które nie śpiewają, ale nie mniej z głuszycami romansują. Gdzieś daleko odezwało się naraz cztery...

Cudowny to chór, ale wściekle irytujący, bo ptaki siedziały tak blizko siebie, że uchwycić pieśni niepodobna. Wysłuchałem tego niezwykłego koncertu, stojąc na kładkach, przeklinając głuszyce, które zaczepiają pierwsze głuszców i przekonałem się, że nie tam śpiewają samce, gdzie są samice, ale te ich szukają i nadlatują tam, gdzie śpiew słyszą.

Pan Michał pozwolił łowczemu zabić głuszca, którego zasadził; udało się staremu, był bardzo uszczęśliwiony. Zapytuję go o wrażenie, bo ciekawy byłem, jak taki stary myśliwy odczuwa tę przyjemność. „Panie powiada—zabiłem ich może więcej, jak dwustu, ale tak samo mi serce biło i ręce drżały do dzisiejszego, jak biło do pierwszego, kiedy miałem 20 lat! To o chorobę może przyprawić taki głuszec"! Ma racyę stary. Chyba, że ktoś ma takie mocne nerwy, że mu wszystko jedno, czy strzela do głuszca, czy do tarczy, ale takich myśliwych sądzę, że niema.

Za dużo bym musiał pisać, chcąc trzymać się kolejnych wypadków dnia. Streszczam się, nadmieniając, że ubiliśmy kilkanaście głuszców i do 30 cietrzewi. Rezultat byłby lepszy, gdyby było ciepło. Pan Michał pomimo bronchitu zabił kilka głuszców i kilku cietrzewi, jednego kulą ze swej trzylufki, ale za to wprost z polowania znowu do warszawskich medyków podążyć musiał.

Ja pozostawiłem swoich towarzyszów w lesie, z żalem dążyłem do domu, dokąd interesa mnie wzywały. A tak było spokojnie, cicho w lesie w tych budanach! Ani gazety, ani listu, ani posłańca, ani nic co się składa na irytujący żywot biednego ziemianina. Nic! Absolutny odpoczynek dla nerwów.

Źle tylko, jeżeli papierosów zabraknie! Trzeba więc było jechać 60 parę wiorst końmi, wołami, przez jeziora się przeprawiać i przez Horyń—do stacyi kolejowej tejże nazwy, brodzić przez 20 kilka wiorst wodą po kolana koniom, po brzuchy i wyżej. Ale się przebrnęło. Żadne niewygody i trudy nie zatrą uroków tej wyprawy.

Wdzięczny jestem bardzo p. Michałowi, jako gospodarzowi, że mi dał sposobność spróbowania tego, nad wyraz rozkosznego polowania, które dopiero poznane, nabiera uroku i powabu i pociąga i wabi myśliwego najbardziej chyba ze wszystkich rodzajów łowiectwa.

Z. T.

Z Dalekiego Wschodu.

(Dalszy ciąg).

Przespałem się jako-tako; znalazła się nawet garść słomy, na której urządziłem sobie łoże. Było mi dość ciepło. Moi towarzysze jednakże musieli marznąć, gdyż co chwila do ognia podchodzili, podtrzymując go noc całą. Rano wypiłem herbatę i zakąsiłem z apetytem. Długo jednak musiałem czekać, zanim poczęło świtać. To też zaledwie ranne świtanie wskazało kierunek wschodu, wyszedłem z chaty. Jeden z trzech gospodarzy moich wyprowadził mnie, wskazując drogę i kierunek, którego należało się trzymać, aby wyjść na rzekę Małą Kabargę, gdzie miała się znajdować moja rezydencya. Wydeptaną jednak ścieżkę traciłem co kilka kroków prawie na każdym skręcie, gdyż pod drzewami było jeszcze zupełnie ciemno. Odnajdywałem ją tylko nogami. Z każdą jednak minutą robiło się jaśniej, aż nareszcie, uszedłszy z jakie trzy wiorsty, natrafiłem na strumyk, płynący wpoprzek mojej ścieżki. W dolinie owego strumyka, którego wody podczas silnych ulew, nie trzymając się krętego i wązkiego łożyska, płyną wprost, niszcząc i wyrywając wszystko, co słabsze po drodze, natrafiłem na zupełnie świeże — nocne, lub też ranne — ślady iziubrów. Zwierzęta może na chwilę przedemną poszły wzdłuż doliny owego strumyka. Ślady ich raz rozchodziły się na niewielką, kilkanaście kroków wynoszącą szerokość, to znów łączyły się, przecinały, lub szły jednym szlakiem. Było ich pięć sztuk. Wszędzie znać było, jak nogami śnieg odkopywały i wyjadały sitowie przy samej ziemi. Szedłem jaknajostrożniej, unikając w gąszczu łamania suchych gałęzi, gdyż najmniejszy trzask mógłby spłoszyć ostrożne zwierzęta. Pojedynczą sztukę jest znacznie łatwiej podejść na strzał, gdy przy większej liczbie trudność wzrasta, gdyż każda sztuka co chwila podnosi łeb do góry, strzyże uszami i tylko wtedy zaczyna znów żerować, gdy nic podejrzanego nie zauważy.

Ja również wpatrywałem się wdal, co kilka kroków rozglądałem gąszcze, czy czasem nie zobaczę jeleni. Nie jest to tak łatwem nawet zimową porą, kiedy na śnieżnej powłoce wszystko widać doskonale. Bywa często, że nieruchomie stojących, osobliwie zwróconych piersią zwierząt, nawet takiej wielkości, jak nasz iziubr, myśliwy nie zawsze dopatrzy. Wprawne oko dobrego myśliwego nieraz dostrzeże je tam, gdzie nieprzyzwyczajony, nieobeznany z lasem wzrok nowicyusza, nawet we wskazanym kierunku nie jest wstanie odróżnić zwierza od otaczającego go kniejowego pejzażu.

Ranny mróz, czyste powietrze i absolutny spokój wymagały tem większej ostrożności; to też idąc za śladami jeleni, skradałem się nie gorzej od drapieżnego zwierza. Każde stąpnięcie nogi było obmyślane, każdy ruch wyrachowany. Tropiłem je dalej. W jednem miejscu, gdzie wody strumyka w krętem łożysku zbliżały się do dość stromej skały, i słychać było szmer płynącej pod śniegiem po kamykach strugi, spostrzegłem, że ktoś inny, oczywiście jakiś myśliwy, spuścił się po śniegu z góry na dół i poszedł dalej tropami za mojemi iziubrami!

Stanąłem wielce zdziwiony, dotychczas bowiem przypuszczałem, że ja jestem jedynym ich prześladowcą, aż tu na raz przekonywam się, że ktoś mnie uprzedził. Zkąd go tu dyabli mogli przynieść? Po tropach znać było, że myśliwy obuty był w filce tak, jak i ja. Dla porównania śladów tych z mojemi, poszedłem obok nich kilka kroków, porównałem następnie, i żadnej różnicy w nich nie znalazłem. Stanąłem, namyślając się, co robić. Tęgie jakieś chłopisko, nogi stawia szeroko. Wybrał też sobie miejsce do zejścia nad rzeczkę, jakgdyby lepszego nie było. Jak on tu karku nie skręcił i dziarsko zjechał po śniegu z góry? Czemuż on nie poszedł kilka kroków w bok i nie zeszedł nad strumyk po ludzku. Ej! jest w tem coś podejrzanego. Zagadek w kniei być nie powinno. Zdaje się, że to nie tak trudno będzie uchylić incognito mego współzawodnika.

Przeszedłszy też z dziesięć kroków śladami nieznajomego, przekonałem się, że to nie kto inny, jak wczorajszy włóczęga, o którym wspominali moi nocni szlafkamraci. Jeszcze kilkadziesiąt kroków i ostatecznie przekonałem się o tem. Mój włóczęga najdoskonalej przeszedł pod przewróconym pniem drzewa, w korze którego, ocierając się plecami, pozostawił długi, czarny włosek. Włosek utkwił w nierównościach kory, i ostatecznie przechodnia wydał. Teraz nie dziwię się, że taki podróżnik nie zwraca uwagi na skały i nie wybiera równiejszych miejsc do swoich wędrówek. Tem lepiej dla mnie; może ja co zyskam na tej wędrówce; i poszedłem dalej za niedźwiedziem, a on za iziubrami.

Szliśmy tak bardzo długo. Iziubry dążyły aż do źródlisk strumyka. Wspinałem się na górę dość wysoko, gdzie natrafiłem na małą polankę, na której woda wystąpiła na lód i świeżo zamarzła. Widocznie było tu ciepłe źródło. Iziubry stratowały kopytami całą mokrą przestrzeń.

W tem miejscu ślady rozchodziły się: iziubry poszły dalej w kierunku strumyka, a niedźwiedź skręcił ku górze. Poszedłem za nim, gdyż i ja po mokrej miejscowości chodzić w filcowych butach nie mogłem; trzeba nawet unikać miejsc takich, omijając je, skoro tylko pod nogami pojawi się śnieg mokry. W górach takich niezamarzających miejsc jest bardzo dużo. Zależy to od obfitości wody podczas jesieni i tylko w suche lata i zimową porą miejsca takie są suche, gdy przeciwnie w mokre lata, a w szczególności jesienią, oparzelisk takich mamy tu pod dostatkiem. Iziubry lubią je uczęszczać, tratując racicami na ogromnych przestrzeniach.

Niedźwiedź, porzuciwszy iziubry, poszedł w prostej linii, trzymając się mniej więcej kierunku na południe. Dostał się na sam grzbiet pasma gór i szedł nim dalej, przedzierając się przez gąszcze.

(D. c. n.).

Jan Dąbrowski.

Nowy rodzaj kłusownictwa
WE FRANCYI.

Wszystko na świecie idzie z postępem czasu, więc i kłusownictwo doskonali się na równi z innemi rodzajami.... przemysłu. Przypomną sobie zapewne czytelnicy nosi ów wypadek, opowiedzany przez nas w roku zeszłym, jak to kilku dżentlmenów (?) zatrzymało się w polu—gdzieś tam w środkowej Francyi—pod pozorem zepsucia się samochodu. Na drugi dzień okazało się, że była to szajka kłusowników, którzy oczyścili sąsiednie pola ze zwierzyny. A oto teraz p. Ludwik Ternier opisuje nam w czasopiśmie „La Chasse Illustrée" nowy rodzaj kłusownictwa z zarania XX wieku. Okazuje się, że owe piękne latarnie morskie, które każdy z kąpiących się w morzu dobrze pamięta, okazały się dla ich stróżów doskonałym przyrządem łowieckim. Wiadomość o tem nadeszła z nad brzegów kanału La Manche.

Wszyscy chyba wiedzą, że niezliczone stada ptaków przelotnych, wedrujących z północy lub z północo-wschodu na południe, podczas niepogody masami lecą na światło latarń morskich, jak motyle i ćmy lecą na światło lampy. Wiele z nich uderza się o szyby latarni, a uderzenie tem jest silniejsze, im lot był szybszy.

W dawnych, dobrych czasach, kiedy latarnie morskie oświetlane były olejem, liczba ptaków, które w ten sposób podczas swych migracyj rozbijały się o szkła, była już bardzo znaczną, lecz wówczas tylko w bardzo ciemne noce biedni wędrowcy ściągali na światło, aby tam śmierć lub kalectwo znaleźć. Mimo to siła przyciągająca je do światła była już wtedy niemała, skoro Degland podaje fakt następujący. D. 19 listop. 1854 r. przy silnym północno-wschodnim wietrze latarnik czato-

wni w Calais usłyszał o 9 wiecz., brzęk tłuczonego szkła. Okazało się, że szyby latarni rozleciały się w kawałki, a miedziana barjerka, średnicy 25 mm. była pogięta. Przy świetle latarni, która mimo silnego wiatru nie zgasła, latarnik łatwo sobie objaśnił przyczynę tego nieszczęścia. Liczne trupy dzikich kaczek, zalegające kwadrat latarni, wskazywały jasno, że ptaki te, zmęcone światłem, uderzyły o szyby i spowodowały szkodę. Siła, z jaką ptaki uderzyły o latarnię musiała być wielka, skoro ochronna druciana siatka, szyby grubości centymetra i miedziana barjera średnicy 25 mm. były pogięte i potłuczone.

Wraz ze spotęgowaniem siły światła latarń morskich wzrosła też i liczba ptaków, zabijących się o nie; lecz dodać należy, że tylko większe z tych latarń są niebezpieczne dla wędrownego ptactwa, gdy przy mniejszych ginie go tylko nieznaczna liczba. Najgroźniejsze zaś są latarnie oświecone elektrycznością.

Międzynarodowy Komitet ornitologiczny podał niedawno do wiadomości, że latarnik, pełniący służbę na jednej z wysp zachodniego pobrzeża Francyi, zbierał niekiedy podczas przelotów przez jeden ranek tysiące ptaków, zabitych o szkła latarni. O ile nas pamięć nie myli, plon jednej nocy dochodził do 1500 sztuk rozmaitego ptactwa.

Uczeni francuzcy mieli nawet zamiar udać się z prośbą do ministeryum oświaty o wyznaczenie z pomiędzy siebie delegata, któryby przez pewien czas pozostał na owej wysepce gwoli robienia obserwacyj nad przelotem niektórych gatunków ptaków. Projekt ten atoli nie został nigdy wykonany. Dodamy tylko, że Anglicy myśl tę w czyn zamienili, a uczeni angielscy poczynili mnóstwo ciekawych obserwacyj nad ptakami, które im się udało zebrać martwemi lub żywemi.

I bylibyśmy nie wracali do tego przedmiotu (jakkolwiek winien on zwrócić uwagę tych, którzy zajmują się ochroną ptactwa), gdyby nie świeży wyrok trybunału jednego z miast północnych. Sprawa ta zainteresuje wszystkich myśliwych.

W dawnych czasach latarnicy zadawalniali się zbieraniem ptaków zabitych o latarnię, czego bynajmniej nie można im było za występek poczytać. Lecz obecnie, idąc za postępem czasu, niektórzy z nich przyszli do przekonania, że mają do dyspozycyi doskonałe przyrządy łowieckie, które tylko należy odpowiednio wyzyskać. Gdy przedtem biernie ciągnęli korzyści z nieszczęsnego zaślepienia ptaków, teraz stali się czynnymi kłusownikami. A wzięli się do tego w sposób następujący. Otoczyli cały taras latarni siatką na 1 metr wysoką, a na 12 metrów długą i w tem ogrodzeniu łowią nietylko ptaki, które się uderzają o szkła latarni, lecz nawet i te, które zwabione światłem unoszą się w przestrzeni. Tym sposobem łowili oni tysiące ptaków najrozmaitszych gatunków, jak kaczki, cyranki, słonki, bekasy, drozdy, kuligi, skowronki i t. p., słowem wszelkie przelotne ptactwo. A oto liczby. Latarnik, o którym mowa, przez cztery noce złowił 5914 sztuk, a mianowicie 1440 szpaków, 3494 skowronki, 766 drozdów, 174 derkacze, 12 ficlauzów, 2 słonki, 2 kszyki i 22 kurki wodne. Wszystka ta zwierzyna wyekspedyowaną została do Angli, przeszedłszy poprzednio w sąsiednim mieście przez biuro podatku konsumcyjnego, gdzie jako towar tranzytowy zwolnioną został od opłaty. I nie na tem koniec. Wkoło latarni mieszkańcy okolicznych domów, uzbrojeni w siecie, latarki i kije zbierali te ptaki, które, ogłuszone uderzeniem, padały poza ogrodzenie latarni.

Na szczęście władza i żandarmerya czuwały; pierwsza zabroniła latarnikowi użycia sieci; druga—wytoczyła mu proces. Winni zostali oddani pod sąd, a przebieg procesu uwidocznił olbrzymią krzywdę, jaką wyrządzano—może bezwiednie i dlatego powstrzymaliśmy się od wymienienia nazwiska latarni, przy której ten rodzaj kłusownictwa uprawiano. Sprawiedliwy wyrok sądu uprzytomni może tym ciemnym ludziom, że latarnie morskie służą do wskazywania drogi zbłąkanym marynarzom, a nie do tępienia użytecznego ptactwa. Byłoby tylko do życzenia, aby władze rozciągnęły pilny nadzór i nad innymi latarnikami, gdyż zdaniem naszem, opowiedziany tu wypadek nie jest zapewne jedynym. Jednocześnie zaś powstaje kwestya, czyby nie był czas wynaleźć jakikolwiek środek, zabezpieczający biedne ptactwo od tak masowego tępienia przy latarniach morskich. Jestto ważna sprawa ekonomiczna, nad którą należałoby się zastanowić.

J. S.

Z Literatury Łowieckiej.

Obrazki myśliwskie. Pod tytułem „Obrazki myśliwskie z Rosyi" („*Jagdbilder aus Russland*) wydał w języku niemieckim książkę o 264 stronnicach p. August Martenson z Rygi (nakład J. Deubnera w Rydze).

Pan M. zdradza w tej książce gruntowne znawstwo ogromnych terenów myśliwskich w Rosyi, oraz niezwykły dar spostrzegawczy. Wywiązuje się też nader szczęśliwie z trudnego zadania, dając plastyczny obraz wielkiego bogactwa Rosyi w gatunki zwierząt, jej różnorodnych terenów myśliwskich na olbrzymich przestrzeniach, przeróżnych metod łowieckich, odmiennych w licznych strefach etnograficznych. Autor posiłkuje się opisami rozmaitych myśliwców rosyjskich, którzy osobiście brali udział w wyprawach na zwierza.

Nie zadawalniając się samemi opowiadaniami o przygodach myśliwskich, p. M. podaje zarazem opisy przyrody, warunków i ludzi, śród których dane zwierzę żyje i od których jest zależne. Czyni to zarówno, gdy kreśli obrazek niedźwiedzia na północy, jak i pantery lub tygrysa na południu, renifera w tundrach, żubra w dziewiczych lasach czarownego Kaukazu, dropia i bekasa, słonki i głuszca, stepówki i stepnika.

Autor prowadzi nas na wyprawę na rzadko obecnie spotykanego żubra, pokazuje nam łowca na niebezpiecznym szlaku śród gór skalistych. Widzimy, jak się przeprawia przez gęstwiny „tajg" odwiecznych, przypatrujemy się dzikom, ogryzającym drzewa leśne, słyszymy krzyk orłów cesarskich, kroczymy za łowcem do wnętrza puszcz wspaniałych, których mieszkańcy trwożliwie uciekają, przerażone widokiem nieznanego im stworzenia — człowieka. Książka wspomina także o kłusownictwie w Rosyi, o typach kłusowników i prawach przeciw nim wymierzonych.

„Posokowiec i jego tresura." Pod tym tytułem wyszła w Hanowerze broszura, opisująca wychowanie posokowca, jak go tresować na świeżych tropach i na farbie. Autorem tej książeczki jest niejaki p. v. Rodon w Hanowerze.

ŻAŁOBNA KARTA.

Ś. p. Stanisław Boetlicher, młody rolnik, syn powszechnie znanego i szanowanego obywatela ziemskiego Władysława Boetlichera z Leśmierza, w Łęczyckiem, padł ofiarą strasznego wypadku na polowaniu w d. 29 sierpnia b. r. Polując na kuropatwy z 19-letniem bratem swoim Władysławem, ś. p. Stanisław schodził już z pola i szedł tuż przed młodszym bratem po nierównej ściezynie. P. Władysław Boetlicher miał broń przewieszoną przez ramię na flintpasie, lufami ku przodowi, jak to, niestety, wielu myśliwych ma w zwyczaju. Naraz, najniespodziewaniaj Władysław B. potknął się, i strzelba nie wiadomo z jakiego powodu wypaliła. Nabój kulą trafił o krok naprzód idącego Stanisława, a ugodziwszy go w móżdżek, pozbawił życia na miejscu. Jeden tylko jęk poprzedził zgon rokującego piękne nadzieje i cieszącego się ogólną sympatyą młodzieńca. S. p. Stanisław przed dwoma laty ukończył wyższe studya rolnicze w Galicyi i osiadł w majątku Pełczyska. Liczył dopiero 26 lat życia. Zgon ten rozpaczą napełnił serce młodszego p. Władysława Boetlichera, a okrył żałobą zacną rodzinę. Ojciec zmarłego, niezależnie od zasług, jakie położył na szerokiem polu pracy obywatelskiej, jest znanym myśliwym i zamiłowanym hodowcą zwierzyny. W ciężkiem strapieniu, jakiem go Bóg dotknął, zasyłamy mu wyrazy serdecznego współczucia.

Ś. p. Wojciech Leppert. W Zambskach, w powiecie pułtuskim zmarł d. 1 września r. b. ś. p. Wojciech Leppert, b. nadleśny. Jako wychowaniec instytutu marymonckiego, był wybornym znawcą przyrody, pisał

wiele o hodowli i ochronie zwierzostanów, urządzał słynne w swoim czasie polowania na niedźwiedzie na Małorusi.

Z pośród jego prac literackich wyróżnia się broszura, obszernie omawiająca sprawy kongresu leśnego, który obradował w Warszawie przed laty dwudziestu. Był również stałym współpracownikiem „Słownika geograficznego", w którym pomieszczał pomiędzy innemi ciekawe szczegóły o zwierzostanie w różnych okolicach kraju. Wraz ze ś. p. Wojciechem Jastrzębowskim, przyrodnikiem i profesorem szkoły w Marymoncie, badał teoretycznie sprawę zalesienia wielu stron kraju, a praktycznie uprawiał plantacyę sośniny i brzeziny na licznych wydmach polskich. Pozatem pisał o modrzewiach, o bartnictwie w dawnej Polsce, o kurpiach i t. t.

Był tak gorliwym myśliwym, że nieraz po 3 i 4 noce z rzędu wylegiwał na mchu pod sosną, upatrzywszy jaką sztukę ciekawszą. Zmarł w 89 r. życia, jako czerstwy starzec, zawdzięczając dobre zdrowie i pogodę ducha stałemu obcowaniu z przyrodą wolną. Tacy nadleśni, wykształceni teoretycznie i praktycznie, są cennym nabytkiem dla społeczeństwa. Niechaj znajdzie pokój wieczysty w ziemi, na której pracował gorliwie a użytecznie.

J. K.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Wydział Ochrony i Polowań zawiadamia, że polowanie na kuropatwy na gruntach wsi Warszewice, Ostry Bór i Zambrzyków zostało czasowo zawieszone z przyczyn od Wydziału niezależnych.

Drobiazgi Myśliwskie.

Jednym strzałem dwa lisy zabił w owsie, chodząc z wyżłem na kuropatwy, p. W. Rudowski, w majątku Grodziec pod Zakroczymiem. Strzelił na ślepo, nie widząc zwierzyny, w miejsce gdzie się „coś" w owsie ruszało i znalazł dwa lisy, co prawda młode, lecz już prawie zupełnie wyrosłe psiaki. P. R., którego to szczęście spotkało, jest w dodatku młodym myśliwym, w pierwszem polu. *Dąbrowa.*

Pies na służbie wojskowej. W uzupełnieniu naszego artykułu, zamieszczonego pod powyższym tytułem w jednym z poprzedzających numerów, podajemy, że obecnie psy na służbie wojskowej w Niemczech muszą przechodzić egzamina, podobnie jak junkrowie, pragnący zdobyć oficerskie epolety. Na ostatnim konkursie, który odbył się świeżo we Frankfurcie, trzy psy otrzymały nagrody, a mianowicie: *Muck*, *Bill* i *Bella*. Wszystkie trzy przyłączono do 4-go batalionu strzelców. *Muck* odbył kampanię chińską i nosi na szyi medal na pamiątkę tej kampanii.

Gniazdo kuropatwy znaleziono w Szkocyi niedaleko Perth, pomiędzy dwoma tarczami, przeznaczonemi na cel dla wojska. Ptaki mimo ciągłych strzałów pozostały przy gnieździe, w którem naliczono 12 jajek.

Dyana, suka rasy newfoundlandzkiej, należąca do brygady ratunkowej w Paryżu, jest obecnie bohaterką dnia. Wiadomo jest naszym czytelnikom, że prefekt policyi paryskiej, p. Lépine, zaopatrzył stacye ratunkowe nad Sekwaną w pewną ilość terre-neuvów do ratowania tonących. Dotychczas jednak psy te nie oddały żadnych usług, co wywołało ostre krytyki i drwinki ze strony prasy i publiczności. Aż oto w ostatnich czasach niejaki Clouar rzucił się do Sekwany w zamiarze samobójczym. Trzeba jednak trafu, że w pobliżu znajdował się członek brygady ratunkowej, Guerita, z suką Dyaną, która usłyszawszy plusk ciała padającego do wody, rzuciła się natychmiast do rzeki i mimo oporu desperata, wyciągnęła go zdrowego z wody, nadwyrężywszy mu jedynie dolną część ubrania w miejscu najmniej zwykle widocznem. Licznie zgromadzona publiczność frenetycznie oklaskiwała poczciwe zwierzę. Dyana liczy obecnie 28 miesięcy, jest rasy terre-neuve, urodzona we Francyi; maść posiada czarną z białym.

Ochrona zwierzyny w Transwalu. Londyński „The Field" podaje, że świeżo wydano edykt, na mocy którego cała przestrzeń pomiędzy rzekami Sabi i Krokodylową (w dystrykcie Lydenburg, na wschodnich kresach Transwalu) ogłoszoną została jako miejsce ochronne. Dozorcą mianowano majora Stevenson-Hamiltona. Na całej tej przestrzeni nie wolno strzelać, łowić, ani tępić jakimkolwiek bądź sposobem zwierzyny pod karą pieniężną, nie przewyższającą 150 funt. szter. (około 1500 rubli), lub w razie niemożności zapłacenia — pod karą więzienia do 12 miesięcy z ciężkiemi robotami lub bez nich.

Pies napądnięty przez łasice. Niejaki p. Sanderson, właściciel ziemski w Anglii, szedł przed niedawnym czasem do swej fermy Benridge Hag, w pobliżu Morpeth, mając za towarzysza psa rasy collie, który biegł za nim w odległości 20 lub 25 metrów. Naraz usłyszał naszczekiwanie psa, jakby tenże gonił królika. Nie zwrócił zrazu na to uwagi, lecz naraz usłyszał energiczniejsze ujadanie swego collie, a obróciwszy się, spostrzegł psa, przebiegającego przez drogę, a za nim ze trzy tuziny łasic, z pomiędzy których kilka uczepiło się grzbietu nieszczęsnego collie. P. Sanderson zawołał na niego, lecz pies pobiegł, nie zwracająo bynajmniej uwagi. Wówczas Anglik puścił się za nim w pogoń i po pewnym czasie zdołał dopędzić. Łasice nic sobie nie robiły z jego obecności i dopiero z wielkim trudem udało mu się oswobodzić psa od atakujących go drapieżników. Dopiero gdy zabił dziewięć, reszta ustąpiła z placu, a wtedy p. Sanderson zdołał jeszcze trzy trupem położyć. Naprożno zachęcał psa do pogoni za łasicami; collie odmówił stanowczo. Zbadawszy miejsce pobojowiska, p. Sanderson znalazł małą łasiczkę, ciągnącą trupa znacznie od siebie większej — zapewne matki. Zabił ją, a przybywszy na miejsce, gdzie się walka rozpoczęła, znalazł jeszcze trzy inne łasice, uduszone przez collie.

Lwy w Dar-es-Salaam, pisze „Die Dt. Ostafrikanische Ztg.," czynią ogromne spustoszenia między ludnością. W braku zwierza rzucają się na ludzi, zwłaszcza na murzynów, przeskakując w nocy ich zeriby. Jednem uderzeniem swej potężnej łapy zadaje lew śmierć swej ofierze i unosi ją. Niedawno trzech krajowców lwy porwały w wiosce Sombo na prawym brzegu rzeki Dovia. Rząd niemiecki rozdał wskutek tych wypadków krajowcom broń i amunicyę.

Kronika Myśliwska.

(Prosimy Szanownych Czytelników naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki)

W d. 10 i 11 b. m. polowano w dobrach Willanowskich na kuropatwy z naganką. Pierwszego dnia brało udział w polowaniu 8, a drugiego 7 myśliwych. Zabito ogółem: 226 kuropatw, 2 bażanty, jastrzębia, lisa i rogacza. W pierwszym dniu na rozkładzie najwięcej miał p. Al. Szwede, a w drugim hr. Ksawery Branicki.

Treść Nr 18 „ŁOWCA POLSKIEGO".

kiei.—Żałobna karta.—Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa. —Drobiazgi myśliwskie: (Jednym strzałem dwa lisy. Pies na służbie wojskowej. Gniazdo kuropatwy. Ochrona zwierzyny w Transwalu. Pies napadnięty przez łasicę. Lwy w Dar-es-Salaam).—Kronika myśliwska.—W feljetonie: Eliza, opowiadanie myśliwskie (D.). (*J. K.*).—Ilustracye: Na ryku.

Prenumerata „ŁOWCA POLSKIEGO" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa Nowy Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy:

Smolna 34, w Warszawie.

KALENDARZ MYŚLIWSKI

na 1902 rok

nakładem i pod redakcyą

„ŁOWCA POLSKIEGO"

wyszedł z druku i jest do nabycia we wszystkich księgarniach.

Cena egzemplarza w oprawie 75 kop.

„ „ bez oprawy 60 „

OGŁOSZENIA.

Dla nowych Prenumeratorów „ŁOWCA POLSKIEGO"
mamy do zbycia w niewielkiej ilości
Komplety „Łowca Polskiego"

z 1899 r. (18 numerów) za 4 rub. 50 k.
z 1900 r. (24 numera) za 5 rub.
z 1901 r. (24 numera) za 5 rub.
wraz z kosztami przesyłki.

Kantor Administracyi „Łowca Polskiego" w Warszawie **(Warecka 15).**